

Od głupoty do tragedii

Naturalistyczna tragifarsa „Ich czworo” Gabrieli Zapolskiej, w reżyserii Kariny Piwowarskiej, to spektakl szalenie atrakcyjny w formie, przy tym niezwykle udany artystycznie, śmieszny i straszny, bolesny i mądry, przerażający i przenikliwy. To przejmujące studium głupoty, które prowadzi do tragedii.

Młoda reżyserka postanowiła przyjrzeć się bohaterom dramatu oczami dziecka, przy czym nie zatrzymała się na samym koncepcie, bo też i wnikliwie przeczytała tekst, by uchwycić jego najważniejsze sensy i tak poprowadzić aktorów, by stały się one dla publiczności zrozumiałe oraz klarowne. Ta skądinąd ryzykowna perspektywa, by to bawiące się lalkami samotne dziecko, jako ofiara kołtuństwa, powierzchowności, obłudy i złośliwej gry dorosłych, stwarzało sceniczne byty i sytuacje, pozwoliła – bez natarczywego uwspółcześniania realiów – na ciekawe i niebanalne spostrzeżenia dotyczące tego, co dzieje się z ludźmi w sytuacji, kiedy ich życie pozbawione jest miłości. Kiedy pod pozorami dobrych manier kryją się chamstwo, bezwzględność, egoizm, prostactwo, bezdusność, uczuciowa i intelektualna mizéria, ordynarność...

Próba opowiedzenia historii rodzinnego piekła wraz z dramatem ludzkich uczuć, pomimo zastosowanej konwencji teatru w teatrze, bo to dziecko zapowiada poszczególne akty sztuki i bije brawo rodzicom śpiewającym operowe kuplety, ma w tym przypadku wymiar uniwersalny. W toruńskim przedstawieniu, zaraz po odsłonięciu kurtyny przez dziewczynkę i po przeczytaniu przez nią didaskaliów, od pierwszego dialogu Żony z Mężem przy wigilijnym stole jest jasne, że na scenie zobaczymy samych siebie, choć przerysowanych i karykaturalnych, to jednak od wieków poddawanych jakże często tym samym powierzchownym, niedbałym i płytkim paroksyzmom zmysłowych namiętności. Marek Milczarczyk i Maria Kierzkowska tworzą w tych rolach duet nadzwyczajny, wypełniony bezmiarem infantylności, arogancji i głupoty.

Wszyscy aktorzy tworzą w tym spektaklu postaci bardzo wyraziste i barwne, galerię pysznych charakterów i rozkosznych portretów. Kierzkowska jest tak samo rewelacyjna, kiedy z pełnym przekonaniem wciela się w postać niepokorną kokoty, która zostawia w dorożce pod oknem kochanka swoją córkę, co w roli apodyktycznej żony, zakłopotanej, czy podążającej za nią mąż nie przeziębienie się na mrozie. Potrafi błyskotliwie łączyć pospolitość zachowania ze swoimi aspiracjami do wyższych sfer, być bezdennie naiwną i

niedojrzałą podczas spotkań z kochankiem i prawdziwie ludzką, kiedy nie chce przyjmować do wiadomości ciągłego wytykania jej głupoty przez męża. Głupoty, która swymi rozmiarami i skutecznością może doprawdy wzbudzać nie tylko zdumienie, ale i przerażenie. Kierzkowska jako lubiąca poświntuszyć słodka kretyńka pełna energii, lecz pozbawiona wrażliwości, nieustannie trajlująca i żądająca ciągłej adoracji, nie tylko z wyczuciem żongluje konwencjami, ale i znakomicie wchodzi w umowność przedstawianych sytuacji. Michał Marek Ubysz, jako Fedycki, ubrany w tużurek na raty, swoim zachowaniem podstarzałego lowelasa jest tak śmieszny, że aż tragiczny w strojeniu kolejnych póz, figur i min. Aktor niezwykle umiejętnie wydobywa nie tylko to, co w jego postaci jest najbardziej prostackie, chamskie czy prymitywne, ale i to, co najbardziej śmieszne.

Wanda Ślęzak, w roli Wdowy, choć nękana zazdrością i namiętnością do swego lokatora, zagrała kobietę, która pomimo przeciwności losu cały czas stoi na granicy łagodnej rezygnacji i ufności; nie ma w niej nic z tej, która za wszelką cenę chce zatrzymać przy sobie mężczyznę, mogącego być dla niej ostatnią szansą. Jest dobra aż do głupoty, przez co tak samo wzruszająca, co śmieszna. Dlatego wzbudza raczej życzliwość i współczucie, niż niechęć.

Dyskretnie przyjacielska Panna Mania, była kochanka Fedyckiego, w interpretacji Matyldy Podfilipskiej, pomimo pozornego spokoju, pocziwości i zrównowżenia, jest chyba bliżej hieny, podstępnej gnidy niż ofiary. Kiedy po decyzji żony o wyjeździe z kochankiem do Monte Carlo przejmując władzę nad domem nieszczęsnego profesora – rogalca, nawet w jej sylwetce widać napięcie, tak silna jest w niej żądza zmiany dotychczasowego życia, a zarazem lęk przed tym, by niezręcznym gestem czy ostrzejszym tonem nie stracić możliwości zajęcia miejsca swej poprzedniczki.

Marek Milczarczyk swoją nijakość oraz nieudaczność gra w sposób świadomie bezbarwny i żalony, co nie znaczy, że mało wyrazisty. Szczególnie dojmująco brzmi jego smutek w akcie pierwszym. Ale to jednocześnie nadęty furia zachowujący pozory spokoju i wyższości intelektualnej. To nie tylko ofiara losu, ale i domowy despota.

Najważniejsze jest to, że cały aktorski kwintet, bez szarży balansujący na granicy karykatury i tragedii, zachowuje właściwe proporcje i nie osuwa się tylko w jedną stronę. Że wszystkie postaci są w spektaklu toruńskim razem, silnie umocowane we wzajemnych relacjach i zależnościach, niezależnie od mechanizmu, który nimi porusza i masek, które bohaterowie na

twarz zakładają. Zarówno tych łatwych do ujżenia, bo płynących na wierzchu, jak i tych skrywanych pod spodem. Pod szminką, gorsetem i sztucznymi rzęsami.

Wiesław Kowalski, Teatr dla Was, 12 maja 2011 r.